

# 665 Zwariowany kołowrót

„Czerwone nosy”  
w Teatrze Ludowym

Na premierę sprawdzonej na zagranicznych i polskich scenach sztuki Petera Barneisa „Czerwone nosy” zaprosił widzów w niedzielę Teatr Ludowy.

Angielski autor uległ pokusie metafory, jaką niesie temat prze-rażającej epidemii dżumy, która wstrząsnęła średniowieczną Europą. Zachowanie ludzi w sytuacji śmiertelnego zagrożenia mia-

ło służyć zbudowaniu wielkiego fresku, w którym wyuzdanie przeplata się z świętością, rozpacz z szaleńczą euforią radości, intryga z poświęceniem.

Peter Bernes zabawił się schematami fabularnymi tworząc zgrabnie skonstruowaną, pełną barwnych postaci, ale w gruncie rzeczy dość powierzchowną i przegadaną sztukę. Cierpienie i heroizm maluczkich wykorzystane zostają do przemyślnych intryg kleru, który — aczkolwiek niechętnie — musi kierować się interesami instytucji.

Wielkie nagromadzenie efektów sprawiło, że akcja wyreżyserowanego przez Włodzimierza Nurkowskiego spektaklu pędzi na złamanie karku. Nowohucka scena wydawała się chwilami za mała dla pełnych rozmachu pomysłów inscenizacyjnych. Zaprojek-

towane przez Annę Sekułę monumentalne schody, lustra, szubienice, wozy i wózki, na których poruszają się bohaterowie wypełniały ją do granic możliwości.

W kalejdoskopie następujących po sobie odsłon, który chwilami nie pozwala widzom złapać oddechu, wyraźnie zabrakło momentów kulminacji i wyciszenia. Jednocześnie zaś patetyczny ton i skłonność do mnożenia silnych wrażeń sprawiły, że każda z dwóch części obfituje w następujące po sobie finały. Reżyser podszedł do tekstu z ogromnym nabożeństwem, dlatego spektakl grzeszy wielosłowiem ogrywając po wielokroć te same efekty.

Śpiewający, zonglujący, wcielający się w role kalek i ładacznic aktorzy zmuszeni zostali do sporego wysiłku, lecz w scenicznym zamieszaniu często giną za-

bawne czy dramatyczne pointy. Muzyka Krzysztofa Sz wajgiera, która chwilami bardzo pomaga w zbudowaniu nastroju, zawodzi w scenach ukazujących trupe „czerwonych nosów”, która podejmuje się walki z zarazą za pomocą śmiechu. Rola ich przywódcy, księdza Flote, na którego barkach spoczywa właściwie ciężar spektaklu, została jedynie naszkicowana, wyraźnie brak psychologicznej motywacji działania i rozwoju postaci. Paweł Gędłek heroicznie mierzy się z tą rolą, jednak konstrukcja sztuki i zawrotne tempo inscenizacji nieuchronnie sprowadziły wszystkie postaci do marionetek, które otrzymują swoje pięć minut w chwili zagrożenia, po czym — co było do przewidzenia — giną w trybach złowrogiej maszyny.

AGNIESZKA FRYZ-WIECIEK

